

Po ciężkim dniu położyć się spać. To było marzenie Michaela od rana, kiedy to musiał wstać do szkoły.

- Dobranoc – rzucił Mike.
- Dobranoc – dobiegł go głos mamy z sypialni. – Śpij dobrze.
- Ty też.

\*\*\*

*Kontury były rozmazane, jednak poznawał to miejsce. To była jego szkoła. Jednak... była inna niż zwykle. Była... pusta. Na korytarzach nie było nikogo. Najpierw szedł wolno, a jego kroki odbijały się silnym echem o ściany przestrzennych korytarzy. Nie słyszał ani jednego głosu. Tylko szepty, jakie tu pozostały po tych, co biegali, śmiali się i płakali. Szedł coraz szybciej, czując narastającą panikę. Zobaczył gablotę, w której zwykle wisiał plan lekcji i zastępstwa za nieobecnych nauczycieli. Odłamki szta leżały na ziemi, a wywieszzone na korkowej tablicy kartki były rozdarte. Strzępy papieru były wszędzie. Spojrzał przez okno. Na zwykle zatłoczonej ulicy nie było ani jednego samochodu. Kafelki chodnikowe były popękane, a niektóre powyrywane z ziemi. Poplamione były czarnymi plamami. Nie mógł jednak dokładnie stwierdzić, czym one były. Budynki stały w ogniu, jednak nie słyszał krzyków, ni pisków ludzi, których były to domy. Niebo było całkowicie czarne. Chciał się stąd wydostać, jednak nie było ucieczki. Usłyszał nagle przytłumione, jakby dobiegające z oddali, westchnienia dziewczyny. Umysł instynktownie podsunął mu jedną myśl: "Musiał ją znaleźć". Zamknął oczy i wyężył słuch. W końcu udało mu się zlokalizować źródło dźwięku. Puścił się biegiem korytarzem. Nie był przyzwyczajony do biegania, więc serce zaczęło mu bić tak mocno, jakby miało zaraz wyskoczyć z piersi. Dopiero biegnąc, zdał sobie sprawę, że jest w piżamie. Lecz teraz to się nie liczyło. Czuł okropny, przenikający ból, wypływający ze stóp i rozchodząc się po całym ciele. Pod nogami wałały się bowiem odłamki szkła. Jego stopy były przez nie okropnie ranione. Zostawiał za sobą, na podłodze, krwawe ślady. To jednak nie było ważne. Im był bliżej, tym krzyki się nasilały. I nie było to dzięki temu, że zbliżał się coraz bardziej do celu. Po prostu dziewczyna musiała cierpieć coraz bardziej cierpieć. Wyciągał z jej głosu ból i cierpienie. Nie mógł tego dłużej znieść. Musiał zatkać uszy... ale nie mógł. Musiał podążyć za nią. Nie mógł zgubić śladu. Coś jest nie tak, a on musi ją znaleźć i jej pomóc. Trafił na rozwidlenie dróg. Spojrzał w jedną*

*(popękane kafelki na ścianie i języki ognia, liżące podłogę i strzępy papierów)*

*i w drugą stronę,*

*(pył skutecznie zasłaniający drogę i sufit, który wyglądał, jakby lada chwila miał się zawalić)*

*po czym przystanął na chwilę. Zamknął oczy, próbując wstuchać się w głos. W końcu zdał sobie sprawę, że musi puścić się w prawo. Tam też pognął. Przeskakując płomienie, które próbowały jeszcze chwycić go w swoje zachłanne objęcia.*

*(życie jest jak ogień. pochłonie wszystko, nie patrząc czy jest ci to drogie, czy nie)*

*W końcu stanął przed drzwiami, za którymi musiała kryć się cierpiąca. Nacisnął klamkę i pociągnął mocno do siebie. Drzwi ani drgnęły, lecz ku jego przerażeniu, klamka została w jego palcach. Krzyki się wzmocniły. Zaczął uderzać pięściami o drzwi, krzycząc do znajdującej się w środku dziewczyny, która zaczęła teraz krzyczeć jego imię. Poznał jej głos. To Elizabeth. Najładniejsza dziewczyna jaką znał, a zarazem jego najlepsza przyjaciółka. Musiał się do niej dostać. Cofnął się o parę kroków. Wziął głęboki oddech, po czym z wielką siłą i zaangażowaniem uderzył rozpędzony, barkiem, w drzwi. Jako, że budynek ledwo stał, zawiasy też nie wytrzymały długo. Wpadł do środka i to zobaczył. Gigantyczny ogień, płomienie połykające drewniane ławki. A pod sufitem, wisząca przywiązana łańcuchami za ręce, Eliza. Miała na sobie poszarpane resztki czegoś, co kiedyś musiało być sukienką. Te, tak dobrze mu znane, piękne, blond, czyste i uczesane włosy były teraz w nieładzie: rozczochrane, krzywo przycięte i tłuste, gdzie nie gdzie pochłapane krwią. Jeszcze świeże krople czerwonej substancji spływały jej na twarz. Głęboka rana, przechodząca przez oko, tworzyła bruzdę na jej policzku. Z prawej dziurki w nosie, wypływała jej stróżka krwi. Podniosła powoli głowę, która przed chwilą spoczywała na jej klatce piersiowej. Gdy jej wzrok spotkał się z jego zielonymi oczami, łza pociekła po poranionym policzku, mieszając się z krwią. Słona łza wplotła się do rany, co niewątpliwie wywołało okropne pieczenie. Eliza zaczęła płakać. Łzy spływały po jej policzku i mieszając się z krwią, spływały w dół, by w końcu spaść w odmęty płomieni. Wystraszył się nie na żarty, że może jej się stać krzywda. Była wszakże jego marzeniem. Chciał jej pomóc. Jednak nie zdążył. W chwili, gdy wyszeptała jego imię, fragment sufitu, do którego przywiązana była łańcuchem jedna z jej rąk, odłamał się. Ona wraz z nim runęła w dół. Ogień chwycił jej nogi. Poczut swąd palonej skóry. Chciał do niej podbiec i jej pomóc. Ocalić ją. Jednak strach i przerażenie sparaliżowały go tak, że nie był w stanie się ruszyć. Widział jak najpierw resztki sukienki zaczynają się palić, a potem reszta ciała. Krzyki cierpienia były nie do zniesienia. Eliza paliła się żywcem. W końcu zajęty się też jej włosy. Jej ciało zaczynało podlegać zwęgleniu. Skóra zaczęła pękać. Krzyki niosły się coraz bardziej korytarzami. W końcu postanowił ruszyć z pomocą. W chwili, gdy był już tak blisko niej, z sufitu spadł kolejny odłamek i uderzył go prosto w głowę. Zupełnie straciwszy równowagę, upadł na ziemię. Zdążył tylko wyciągnąć rękę w jej kierunku i wypowiedzieć imię osoby, w której tak bardzo się kochał. Nagle poczuł fale gorąca i bólu. Ogniem zajął się rękaw jego bluzki. Jednak to nie było ważne. Stracił tak ważną osobę. Przed oczami pojawiały się czarne plamy, a on tracił świadomość. Nagle stanął mu przed oczami obraz zwęglonej twarzy Elizy. Białka oczy,*

*silnie kontrastowały z zupełnie czarnym kolorem jej zeschłej skóry. A on... spadał w dół. W mroczną otchłań nicości...*

\*\*\*

Michael obudził się i gwałtownie usiadł na łóżku. Był cały zlany potem. Rozglądnął się dookoła. Był bezpieczny i, co ważniejsze, Eliza też. Znajdował się w pogrążonej w ciemnościach sypialni,

Boże, co to było?! Nigdy coś takiego wcześniej go nie spotkało. To, co przed chwilą przeżył, było straszniejsze niż tysiące (w porównaniu z tym) zabawnie dziecinnych koszmarek. Ten ogień, wszechogarniający strach i panika. Nie chciałby tego więcej przeżyć. Ale może był to jakiś znak? Być może jego umysł tak przeraźliwie domagał się Elizy, że postanowił przypuścić zdecydowany atak. Faktem jest, że Mike nie raz miał sny o dziewczynie. Tak bardzo chciał ją poprosić, by z nim była. Bał się jednak, że odmówi. Co on wtedy zrobi? Wyda się, że Michael dostał kosza od dziewczyny. A nie tylko on był zafascynowany Elizą. Interesowała się nią też ponad połowa innych jego rówieśników. Podkochiwało się w niej skrycie, lecz miał wrażenie, że to on jest jej najbliższy. Zwierzali się sobie nawzajem ze wszystkich sekretów i mimo, że ich bliższa relacja trwała jedynie dwa lata, czuł że uda mu się zaspokoić jej potrzeby, a co do vice versa, to nie miał najmniejszych możliwości.

Postanowione więc! Jutro podejdzie do niej i poprosi ją, czy może z nią chodzić. Nie będzie się martwił o konsekwencje. Co będzie to będzie! Myślał nad tym już od jakiegoś czasu.

Uklepał sobie poduszkę i ponownie złożył na niej głowę. Mimo, że bał się tego, iż koszmary powrócą, czuł niewychodzącą od niego potrzebę snu. Jutro w końcu ważny dzień. Oczy same się zamknęły, a sen, tym razem już o wiele bardziej przyjemny, chwycił go w swoje objęcia i nie wypuścił go aż do chwili, gdy o poranku obudziła go mama, by poinformować go, że jeśli chce, by odwiozła go do szkoły, to musi się pospieszyć z jedzeniem śniadania.

## II

Gdy tylko przekroczył próg szkoły, natrafił na dwójkę swoich kolegów: Jacoba i Winstona. Jake był wysokim, krótko ostrzyżonym szatynem o dobrej budowie. Był jednym z najsympatyczniejszych ludzi, którzy chodzili to tej szkoły. On właśnie pierwszy podał Michaelowi rękę. Jako drugi podszedł Winnie, czyli nieco niższy chłopak, o niezastąpionym poczuciem humoru i włosach opadających na ramiona. Był raczej gruby, co stanowiło obiekt kpin ze strony

innych, ale nie przeszkadzało mu to. Twierdził, że każda osoba musi mieć coś, z czego inni będą się nabijać.

Razem z nimi poszedł w stronę szatni, gdzie chciał odwiesić swoją kurtkę. Po drodze jeszcze z piętnaście razy zatrzymywał się by podać rękę i przywitać się z kolegami. Gdy trafili wreszcie do schodów prowadzących do szatni, Jake i Winnie poszli pod klasę, mówiąc że tam się spotkają. Michael swoim zwyczajnym, lekko przyspieszonym krokiem, zbiegł po schodach na dół. Wszedł przez otwarte drzwi do szatni. Tam właśnie ją zobaczył. Piękną, jak zawsze. Eliza właśnie zdejmowała z pleców swój czarny płaszcz. Gdy tylko ich spojrzenia się spotkały, jej

(zwęglone ciało, oczy wywrócone do góry i krew, mnóstwo krwi)

rozjaśnił uśmiech. Mike też mimowolnie się uśmiechnął. Rozłożyła ręce. Michael podszedł do niej i serdecznie ją objął.

- Cześć – powiedziała tym tak bardzo

(wyrażającym cierpienie, bezgraniczny smutek i paralizujący strach)

mu znajomym, ciepłym i delikatnym głosem.

- Cześć, Eliza – odpowiedział.

- Co tam u ciebie? – spytała.

Michael wzruszył ramionami.

- Nic nowego, a u ciebie?

- Tak samo.

- Ładna pogoda, prawda? – spytał Mike, zanim zdążył ugryźć się w język. To przecież był najstarszy tekst na podryw. Miał nadzieję, że tak szybko tego nie wykryje.

Nie dała się nabrać. Była inteligentna.

- Chcesz mi coś powiedzieć, Mike?

To była jedna z tych sytuacji podbramkowych, o których tyle się słyszy, ale nie wierzy się w ich istnienie, dopóki samemu się ich nie doświadczy. Osiadł na nim paralizujący strach i niepewność. Niby tak bardzo chciał

(obiecał sobie)

ją o to poprosić,

(ale teraz czuł się tak, jakby kazano mu ugasić ogień benzyną)

ale nie mógł się przemóc. Tak łatwo to powiedzieć: „Poproszę ją o to”. Ale gdy staje się już w obliczu tego wyznania, to nogi się trzęsą, w uszach słychać wysoki pisk, a oddech przychodzi o wiele trudniej niż zazwyczaj.

(masz wrażenie, że skończy ci się tlen w połowie zdania. że coś złego się stanie. że ktoś tu wejdzie i przerwie ci w połowie. ona cię wyśmieje. wszystkim rozpowie. do końca życia będą się z ciebie śmiać. nie będziesz miał życia. wszyscy się dowiedzą i twoje życie będzie do niczego.)

Ale przecież nie może zrezygnować. Najwyżej

(nóż. żyły. umywalka. krew.)

się nie zgodzi.

(pętla. szyja. deska pod sufitem. nogi na krzesło. założyć sznur na krtań. nogi z krzesła.)

W końcu wziął głęboki oddech i odpowiedział:

- Tak. Tak, chcę ci coś powiedzieć.

Eliza uniosła ku górze prawą brew.

- Więc...? – spytała.

(co jej powiedzieć?! jak o to spytać?! czy się zgodzi? na pewno. a jeśli nie? co wtedy zrobi? nie, nie rób tego, Mike jeszcze jest czas na odwrót. proszę, nie rób tego!)

(nie słuchaj go, Michael! poprosz ją! obiecałeś sobie. musisz spróbować. zrób to. zrób to! zrób...)

(zamknij się!! nie rób tego!! nie...)

(zrób to! zrób...)

- Chciałem cię spytać, Eliza...

(NIEEEEEEEEE!!!!)

(tak, nie przerywaj!)

... czy będziesz moją dziewczyną?

Zrobił to. Naprawdę to zrobił! Chociaż lepiej będzie powiedzieć: „palnął”. Jak mógł być tak głupi, by myśleć, że może mu się udać. Teraz dopiero widzi, że to był głupi pomysł. Jak on mógł tak pomyśleć. Ona – piękna, inteligentna, sympatyczna, miła. On – brzydki, głupi, niemiły i niesympatyczny. Teraz widział to zdziwienie na jej twarzy. Ona też nie mogła wyjść z podziwu, jak ktoś może mieć taki tupet! Otworzyła usta. On zamknął oczy. Nie chciał tego słuchać. Nie mógł. Teraz spadnie na niego ten cios. Nigdy nie uda mu się już pozbierać. To jedynie utrwali w jego umyśle jego pozycję. Pozycję nieudacznika. Spadną na niego te słowa...

- Tak.

Otworzył oczy. Jego serce się zatrzymało. Mózg przestał pracować. Na jego policzki wstąpiły czerwone plamy. Zakręciło mu się w głowie. Chwycił się dłonią wieszaka, na którym wisiał jej płaszcz. Nagle zrobiło mu się okropnie gorąco. Kropelki potu wstąpiły na jego czoło, łzy zabłysnęły w oczach, a krew zaczęła szybciej krążyć. Wszystko to stało się w zaledwie ułamku sekundy, jednak to jedno, jedyne słowo, które ona wypowiedziała, miało do niego docierać jeszcze przez cały dzień. Zgodziła się. Naprawdę się zgodziła!

Spojrzał w jej oczy. Były mokre. Ona również nie umiała powstrzymać łez. Jedna z nich spłynęła po jej policzku. Przytulili się do siebie. Obejmował ją mocno. Nie chciał jej już wypuścić. Nie dopuszczał do siebie myśli, że w końcu będą musieli się od siebie odsunąć. Zapragnął ją trzymać, aż w końcu opadnie z sił. Nagle poczuł, że oderwała głowę od jego ramienia. On zrobił to samo. Teraz ich twarze dzieliły od siebie jedynie milimetry. Spojrzał głęboko w jej oczy. Dopiero teraz zobaczył, jakie one są piękne. Ta głębia, którą trzymały. Ich błękit zdawał się go więzić. Nie mógł uciec od tego koloru. Były tak piękne, jasne i czyste jak niebo po burzy. Przynął swoje usta do jej warg. Zamknęła oczy. On zrobił to samo. I nagle w wyobraźni ujrzał najpiękniejsze obrazy, jakie tylko może ludzki umysł wytworzyć.

### III

*Zobaczył tąkę. Wiosna. Pełno kwiatów. Kolory, które przykuwały wzrok. Niebieskie niebo, po którym przesuwały się wolno i delikatnie, lekkie i wiotkie chmury. Na środku tąki rośło drzewo. Było tak wielkie. Liście obrodziły na nim tak gęsto, że nie mógł ujrzeć gałęzi. A pod nim, na trawie siedziała Eliza. W topie i krótkiej spódniczce. Miała odstępnęty brzuch i nogi. A on stał w pełnym słońcu i tak bardzo jej pragnął. Chciał ją chwycić i już nie puścić. Chciał, żeby nigdy nie odsunęła od niego. By na zawsze byli razem, nie marnując życia na przyziemne sprawy. Zobaczył jak otwiera oczy. Jak się szeroko przeciąga, prezentując swoje kształty. Nie mógł już dłużej wytrzymać. Puścił się ku niej biegiem. Ujrzał, jak wstaje. Widzi go i biegnie do niego. Bosymi stopami smaga żdźbła trawy. Jej włosy powiewają delikatnie na wietrze. Wyciąga ku niemu ręce. On robi to samo. W końcu, po chwili która wydaje się dla Michaela wiecznością, wpadają sobie w ramiona. Przytulają się do siebie, tak mocno, jak tylko potrafią. W końcu Michael zaczyna ją całować. Ona go spętała siecią swojego uroku, który tak bardzo go zniewala. Jego twarz powoli zsuwa się w dół, a usta całują już jej szyję. Ona podnosi głowę, naprężając mięśnie. Czuje miłosną ekstazę. Jakby... unosił się nad ziemią. Nie ma już nic. Nic na tym świecie się nie liczy. Nie ma nikogo ni niczego prócz nich. Prócz Michaela i Elizy. Nagle czuje na języku słodki smak. Nie przejmuje się tym za bardzo. W tej chwili nie zdziwiłby się, gdyby było to tylko złudzenie, które to umysł podsuwa mu by jeszcze bardziej urozmaicić to niezastąpione uczucie. Zaniepokoił się dopiero, gdy słodki smak zmienił się w metaliczny posmak. Otworzył oczy. Ujrzał krew. Gwałtownie odsunął się od Elizy. Krew. Mnóstwo krwi. Wyciekała ona z jej ust. Przeraził*

się. Elizabeth miała zamknięte oczy. Wstał, stanął za nią, pochylił ją tak, że stała zgięta teraz w pół. Klepnął ją mocno w plecy, mając nadzieję, że wypłuje ona krew, która zebrała się w niej. Nagle, ku jego przerażeniu, razem z ilością krwi, która mogłaby spokojnie do pełna zapęłnić dwulitrowy karton, z jej ust wysunęło się jakieś dziwne i straszne stworzenie. Z jej gardła wysunęło się coś, co przypominało węża, jednakże z odnóżami skorpiona. Nie wypadło jednak całkiem z jej ust. Połowa wychyliła się z krtani i szamotała się wisząc w powietrzu. Widać było, że Elizie sprawiało to ból. Wydawała przytłumione krzyki, które nie mogły brzmieć wyraźnie, gdyż coś

(potwór)

stało jej dosłownie w gardle. Dusiła się, nie mogła złapać powietrza. Szpony potwora były ostro zakończone. Zaczął się szamotać. Michael widział jak coś rozpruwa gardło Elizy od wewnątrz. Uderzył ją jeszcze raz w plecy. Stworzenie nieco bardziej wysunęło się z gardzieli dziewczyny, lecz dalej spora jego część wisiła w powietrzu. Ku przerażeniu Michaela, stwór zaczął szamotać się jeszcze bardziej. Eliza podniosła dłonie i chwyciła nimi za gardło. Po chwili spod nich zaczęły wypływać strumienie krwi. Mike nie miał wyboru. Musiał ją ratować. Uderzył w jej plecy otwartą dłonią z całej siły. W końcu stwór wypadł całkiem z jej przetyku. Razem z falą krwi wylądował na trawie. Nagle niebo zrobiło się czarne. Chmury zastoniły słońce, a trawa pod nogami zrobiła się czarna i krucha, jak zwęglony papier. Eliza upadła na ziemię. Miała szeroko otwarte oczy, patrzące pustym spojrzeniem w pustkę. Z rozpiętego na strzępy gardła, z którego płyły skóry leżały obok niej na ziemi, wyciekały strumyczki krwi. Po ziemi wił się na krótkich szponach stwór, który ją zabił. Był długi na dziesięć metrów. Białe-czarne łuski pokrywały jego ciało. Miał około dwudziestu odnóży jak u skorpiona i pysk węża z długimi kłami, pomiędzy których wił się język, którego końcówka była jakby przecięta na dwie części. Mimo, że dzieliło go od Mike jakieś trzydzieści metrów, chłopak zaczął się szybko cofać do tyłu. Nagle stwór zaczął szybko pełznąć w jego kierunku. Michael zaczął uciekać. Biegł tak szybko, jak tylko mógł. Nagle zahaczył stopą o wystający z ziemi korzeń drzewa. Runął na ziemię, skręcając sobie nadgarstek u ręki, próbując ochronić swoją twarz przed upadkiem. Przewrócił się na plecy. W tym samym momencie na jego plecy wpełzł potwór. Dziesiątki, ostro zakończonych, małych nóżek zaczęły robić małe, bolesne rany na jego nogach. Mike syknął z bólu. Znalazł się w końcu na torsie Mike'a. Patrzy na niego. Zielone oczy chłopca spotkały się z żółtymi oczami węża, którego pionowe, wąskie, czarne źrenice, bacznie wbijały się w Michaela. Nagle, gwałtownie i szybko zaatakował kłami szyję chłopaka. Michael poczuł okropny ból. Pieczenie, które zaczęło paraliżować całe jego ciało. Przeraził wyzerający jad, który jakby miesząc się z krwią, wypalał wszystko co dobre. Najpierw przestał rozróżniać kolory. Czerwień, błękit, zieleń przerodziły się w czerń. Białe kontury wypełnione czernią. Tak właśnie wyglądał teraz świat widziany jego oczami. Za chwilę jego serce zaczęło ubożeć. Miłość, dobro, szacunek zastąpiły nienawiść, zło i pogarda. Jego serce stało się teraz niczym innym, jak tylko kawałkiem skały. Zimnym kamieniem, którego nic nie mogło ruszyć. Zrozumiał teraz, jak świat widzą ludzie bez miłości. Jest to przestrzeń pozbawiona kolorów, radości i dóbr, a jedynie przepętniona czarnymi pozbawionymi szczęścia strzępami prawdziwej rzeczywistości. A potem... umarł

\*\*\*

Mike usiadł na łóżku. To się powtarzało. Było gorsze niż ostatnio. Odgarnął kołdrę, usiadł po turecku, oparł łokcie o kolana i złożył swoją głowę na dłoniach. Momentalnie stały się mokre od potu, który pokrywał jego czoło. Skąd brały się te sny? Czemu go nawiedzały? Czuł się przez nie coraz gorzej. Coraz więcej nocy spędzał leżąc na plecach z rękami pod głową i patrząc się nieprzytomnie w sufit. Ogarnęła go bezsenność. Bezsenność, która gdy nawiedza już człowieka, jest zmurą większą niż głuchota czy utrata wzroku. Nie widzisz przecież przez nią świata takim, jakim naprawdę jest. Jedynie czarne, rozmazane kontury wypełnione jakimiś wyblakłymi dawno kolorami. Ludzie mówią coś do ciebie, lecz ty ich nie słuchasz. A nawet, gdybyś chciał, to nie dasz rady, gdyż nie umiesz się skupić na niczym innym, niż tylko na sobie. Podobne objawy mają ludzie samotni. Więc, jeśli masz wyżej wymienione objawy, to wiedz, że albo cierpisz na bezsenność, albo żyjesz bez miłości. Obie rzeczy są niewątpliwym kalectwem. Kalectwem, które nie zostawia piętna na ciele, lecz na duszy. A to piętno jest o wiele wyraźniejsze i bardziej boli, gdy rozdrapujesz.

Musi opanować te koszmary. Nie wie, ile jeszcze da radę dusić je w sobie. Ostatnio coraz bardziej go wyniszczały. Zaczął robić się coraz bardziej nerwowy, mimo iż uchodził za oazę spokoju. Ilekroć spojrzął na Elizę, najpierw widział jej zwęgloną twarz. Musiał kilka razy mrugnąć, by wreszcie odzyskać prawidłowy wzrok.

Złożył głowę na poduszce i przykrył się kołdrą. Mimo, że czuł pot na całym ciele, było mu przeraźliwie zimno. Zamknął oczy i pogrążył się w snach. Teraz jednak, nie nawiedziły go już koszmary, przed poleceniem mózgowi udania się w stan spoczynku, podsunął mu sugestię. Chciałby teraz śnić o Elizabeth. Chciałby wrócić na piękną, zieloną łąkę, o jakiej wcześniej marzył. Tylko zamiast potwora, chciałby zobaczyć, jak leżą na trawie rozpoznają kształty chmur. Bez wątpienia było to mniej destrukcyjne zajęcie, niż patrzenie bezradnie jak jego dziewczyna wypływa z siebie litry krwi, a najgorszy stwór z koszmarów rozcina jej gardło.

#### IV

Tato, jak co jakiś czas, wysadził go nieco dalej niż pod samą szkołę, by „mógł się przejść”, kiedy to ma okazję „zacerpnąć świeżego powietrza” wszakże „niewiele się rusza”. Według niego „tylko leży, albo siedzi przed komputerem”. Zarzucił torbę na ramię i zaczął iść swoim szybkim krokiem. Podczas tego porannego spaceru, nie myślał ani o szkole, ani o kolegach, koleżankach, Elizabeth, czy nawet o sprawdzianie z matmy, który dziś go czeka, a do którego w ogóle się nie uczył. Myślał o swoich snach. O tych, które wzbudzały w nim tak bardzo



autentyczne przerażenie. Kochał spać. Uwielbiał moment, gdy po całym dniu zmęczenia i pracy, może wreszcie zamknąć oczy, wiedząc że ma parę chwil odpoczynku. Że nikt nie podejdzie do niego, nie obudzi go i nie zagoni do roboty. Przynajmniej przez jakiś czas. Od jakiegoś miesiąca jednak to się zmieniło. Bał się kłaść, żeby tylko nie zagłębić się w świat snu, ponieważ bał się, że zakleszczą się na nim szpony koszmaru. One były tak bardzo realne! Przedstawiały tę makabrę z takimi szczegółami, że Michael chciał nie raz wstać, by pójść do łazienki, uklęknąć przy ubikacji, włożyć do niej głowę, a potem nakarmić ją zawartością swojego żołądka. Nie byłoby to jeszcze takie złe, gdyby nie to, że te złe sny mówiły o jednej z najbliższych mu osób. Obawiał się, by nie było to żadne ostrzeżenie podświadomości. Czytał gdzieś, że podświadomość jest tak mądra, że wybitne jednostki mają zdolność przewidywania przyszłości. Miał nadzieję, że jego koszmary nie są wizją tego, co może się stać. Bo, jeśli tak, to jego przyszłość nie maluje się w jaskrawych kolorach.

## V

Obudził się obcym sobie miejscu. Wszędzie, dookoła niego była biel tak jasna, (jak kość wystająca spod wyrwanej żywcem ręki) że w pierwszej chwili musiał przymrużyć oczy, gdyż zbyt mocno go razita. Leżał na jakimś dziwnym łóżku. Na pewno nie było to poślanie w jego domu. Spojrzał w dół, na swoje ciało. Przykryty był kotdrą, wyglądającą raczej jak prześcieradło. Na ciele miał białe ubranie pacjentów szpitala. (poczuł ogromny gniew. kto ośmielił się go przebrać?! niech zdechnie za to!) Teraz wszystko było jasne. Znajdował się w (przytułku dla chorych i umierających, dla których nie ma już ratunku) szpitalu. Do zewnętrznych stron swoich dłoni miał wpięte igły, (wyciąga je. krew leje się strumieniami. zalewa całą podłogę. wchodzi lekarz. traci równowagę. uderza o podłogę i rozbija sobie głowę. więcej krwi) dzięki którym do jego krwi natychmiast dostawały się (wyniszczające organizm substancje, które zostały wymyślone by dawać umierającym złudną nadzieję) lekarstwa. Aparatura monitorująca pracę serca pikata (odmierzając czas, który ci pozostał. stając się zegarem niosącym nadzieję) w równym rytmie. Poza tym pokój był pusty. (znajdowały się w nim tylko ponure odciski tych, którzy stracili tu życie) Po korytarzach szybkim krokiem chodzili (kaci w białych szatach) lekarze. Większość z nich miała w rękach (wypisane akty zgonu) teczki z papierami. Czasem je czytali, a czasem uzupełniali. W ślad za nimi szły pielęgniarki, wypyujące się (komu już wstrzyknąć truciznę do żył, a komu przedłużyć jeszcze cierpienie) o pacjentów. Co chwila korytarzem, ledwo co ciągnąc nogami, przetaczali się (żywe trupy) starsi pacjenci z balkonikami. Nie można było wypatrzyć pustek, gdyż jak w każdym szpitalu co chwila przechodzili nimi pacjenci i lekarze, próbujący

(skrócić ich cierpienie poprzez morderstwo)  
ich wyleczyć.

Michael miał nadzieję, że długo nie będzie tu leżał. Włożył sobie ręce pod głowę. Bał się. Jego podświadomość podsuwała mu coraz to bardziej  
(rzeczywiste)

przeróżające sugestie i wizje. Bał się aż dopuszczać do swojego umysłu jakąkolwiek myśl, gdyż obawiał się tego, co może mu się pojawić. Jego oczy nie dostrzegały już rzeczywistego stanu rzeczy. Gdy stał przed nim lekarz, wyciągając ku niemu swoje świeżo wyczyszczone, sterylne dłonie, oczy Mike'a podsuwały mu krew na nich osadzoną. Gdy trzymał w ręku długopis, on widział uciętą rękę niemowlęcia ze zwisającymi jeszcze mięśniami. Nie wiedział skąd wzięty się te koszmary, ani co one znaczyły. Czy prowadzą go do

(prawdy)  
czegoś. Czy jest to wizja przyszłości?  
(TAAK!)

Nie wiedział.

Tak, czy siak musi na siebie uważać. Dokładnie za tydzień jest wigilia klasowa. Musi na niej być. Wszyscy na niej będą. To ostatnia okazja, by zobaczyć się z kolegami i koleżankami w tym

(życiu)

roku. Jak nie trudno się domyślić, Michael wyciągnął Elizabeth w losowaniu osób do robienia prezentów. W każdym bądź razie to była oficjalna wersja. Prawdziwa zaś jest taka, że najpierw musiał zorganizować dwunastu osobom inne karteczki, by w finale otrzymać swoją dziewczynę. Kompletnie nie wie, co jej kupić. Zanim jednak zdążył pomyśleć, zasnął. Nie śniły mu się jednak złe obrazy. Jedynie czerń. Ona jednak też była koszmarem.

## VI

*Ubrany, jakco roku w białą koszulę, czarne spodnie, bluzę i dwurzędowy płaszcz, szedł ulicą. Był to jedyny taki dzień w roku. Wigilia klasowa. Czyli zero lekcji, zero sprawdzianów i kartkówek, a w zamian za to trzy, cztery godziny jedzenia, rozmów, składania i przyjmowania życzeń. Szedł chodnikiem, wyprostowany, stawiając energiczne i szybkie kroki. Ulica tętniła życiem. Nagle, na środku ulicy, zatrzymał się jeden samochód. Czerwone porsche. Zaraz potem wysiadł z niego mężczyzna, który patrzył na niego nienawistnym wzrokiem. Stał bez ruchu. Chwilę potem zatrzymał się kolejny samochód. I kolejny. I kolejny. Kolejny. W końcu ulicą nie poruszały się już żadne pojazdy. Wszystkie stały, taranując drogę, a koło nich stali ich właściciele. I nie byli to tylko mężczyźni. Ale i kobiety, ludzie starsi, a z tylnych siedzeń wysiadały nawet dzieci. A Michael stał i patrzył się zdumiony. Czuł utkwione w sobie dziesiątki spojrzeń, które zdawały się przebijać go na wylot. Czuł paraliżujący strach, który nie pozwalał mu się ruszyć. Nie mógł poruszyć ani ręką, ani nogą. W końcu obrócił się, chcąc uciec, lecz przechodnie stanęli na jego drodze, tworząc swojego rodzaju mur. Nie miał dokąd uciec. Nie było drogi ucieczki. Wszyscy zdawali się tak na niego patrzeć, jakby chcieli go zabić samym spojrzeniem. Nagle jeden mężczyzna zaczął biec w jego kierunku. Oczy wyrażały żądzę mordu. Mike cofnął się o krok. Nie zdążył jednak uchylić się przed ciosem, który zadany został z zupełnie innej strony. Znad jego prawego ramienia nagle wystrzeliła pięść i knykciami złamała mu nos. Poczuł ból i falę ciepła rozchodzącą się od miejsca złamania. Krew zaczęła obficie cieknąć. Otart ją, zanim zdążyła jeszcze wpłynąć mu do ust. Nagle usłyszał przenikliwy pisk opon. Odwrócił się w stronę ulicy. Jakiś samochód jechał tak szybko, że asfalt pod jego kołami zdawał się palić. Potem był głośny huk, gdy z całej siły wpakował się w stojącą nieruchomo toyotę, która uniosła się na kilka metrów*

*i zaczęła lecieć w kierunku Michaela. Chłopak, który leżał na ziemi, przeturlał się na prawo, mając nadzieję, że uda mu się uniknąć tego ogromnego, lecącego w jego stronę ciężaru. Jak się okazało: złudną. Owszem udało mu się poniekąd usunąć z toru lotu samochodu, lecz zabrakło mu zwinności i szybkości reakcji. Toyota bowiem spadła prosto na jego lewą rękę. Michael najpierw usłyszał trzask łamanych kości i młaińnięcia zgniatanych mięśni, a dopiero potem poczuł ból i ujrzał falę krwi, która rozprysnęła się jak woda w balonie wodnym. Czuł ból, jakiego nie czuł nigdy wcześniej. Ból, jakiego nie da się wyobrazić, jeśli się go nie poczuje. Mike wrzasnął na całe gardło, mając nadzieję, że wraz z krzykiem, choć trochę bólu uleci z jego ciała w przestrzeń. Zaczął krzyczeć. Nie było jednak czasu na uzalanie się, choć ból był nie do wytrzymania. Całe „stado” ludzi zaczęło bowiem zmierzać w jego kierunku. Spróbował wyciągnąć rękę spod samochodu. Okazało się to jednak niemożliwe, gdyż z każdym przesunięciem ręki choćby o milimetr, ból narastał tak bardzo, że mógłby rozsadzić mu głowę. Jego przyszli oprawcy zbliżali się z mściwymi uśmiezkami na twarzy. Wiedzieli, że ich zdobycz już się nie wymknie. Był jak mysz w pułapce. Nie miał dokąd uciec. Chociaż nie! Było jedno wyjście, lecz na samą myśl, Michael czuł jak krew szybciej płynie w jego żyłach. Jednak musiał dokonać wyboru: długie cierpienie, czy niekończące się męczarnie. Kurde, super zestaw! Wybrał jednak długie cierpienie. Zaczął próby wyciągnięcia swojej zmiażdżonej ręki spod wraku auta. Ciągnął tak silnie, jak tylko pozwalały mu na to zwiotczałe i obezwładnione przez ból mięśnie. Nie chciał tam patrzeć, lecz w końcu się przemógł. Zobaczył, jak skóra napina się tak bardzo, że zaczęły w niej powstawać dziury. Przypominało to trochę rozciągniętą mozzarellę, która jednak zaczyna się dziurawić, gdy za mocno pociągniesz. Zobaczył rażącą biel jego wystającej kości. Spod jego pękniętej skóry oczywiście wypływała krew. „Wypływała”, to jednak chyba złe słowo. O wiele trafniejszym jest WYTRYSKIWAŁA. Jak z fontanny. Na wszystkie strony. Karmazynowa posoka pokrywała chodnik. Ludzie byli coraz bliżej. Zdawali się taknąć krwi. Nie chcieli jednak tej, która wylewała się na chodnik, lecz pragnęli tą, która płynie jeszcze w jego żyłach. Co po niektórzy wyciągnęli ręce w jego stronę, pragnąc jak najszybciej go w nie chwycić. W końcu użył całej swojej siły i pociągnął lewą ręką do siebie. Takiego bólu nie można sobie wyobrazić. Jego głowa pękała. Ból rozsadzał go od środka. Z oczu popłynęły łzy, a z uszu i nosa krew. Zamknął oczy. Nie chciał widzieć tego, co tam się działo. Ale jego wyobraźnia podsuwała mu te obrazy. Skóra po prostu rozrywała się. Tak łatwo, jak mokra kartka papieru. Słyszał, jak kości pękają. Jak mięśnie naciągają się do granic. Nie mógł wyjąć ręki spod auta, więc musiał ją od siebie oderwać. W końcu udało się. Poczuł taki ból, jakby nagle wewnątrz jego głowy wybuchła bomba, rozerwała jego czaszkę, a jego mózg znalazłby się w strzępach na ścianie. Nie miał czasu patrzeć na swoją lewą rękę. Ruszył prosto w sam środek tłumu. Ludzie wewnątrz dopiero po chwili zobaczyli, że on nie żartuje. W ostatnim momencie odsunęli się, jednak dopiero gdy Michael przebiegł obok nich zrozumieli, jakie głupstwo właśnie zrobili. Ich było około trzydziestu. W większości byli to silni i dobrze zbudowani mężczyźni w sile wieku. Czemu cofnęli się przed rannym i ledwo co przytomnym piętnastolatkiem. Przypuścili więc pościg. Mike ledwo co mógł się poruszać, jednak robił wszystko, by biec. Jednak to, co wykonywał, biegu w najmniejszym stopniu nie przypominało. Nie było to łatwe z krwawiącym nosem, prawdopodobnie skręconą kostką i głową pulsującą bólem. Zobaczył wreszcie drzwi swojej szkoły. W jego głowie zapłonęła iskierka nadziei. Przyspieszył. Słyszał za sobą tupot kilkudziesięciu stóp. W końcu dopadł do drzwi. Były otwarte. Wpadł do środka i przekręcił klucz, tkwiący w zamku, wewnątrz budynku. Drzwi zaczęły drgać. Łomot pięści dudniących w wejście był nie do wytrzymania. Michael wiedział, że długo im nie zajmie, by wejść do środka. Zaczął więc uciekać korytarzem, w poszukiwaniu jakiegokolwiek schronienia. Dopadł wreszcie do pierwszych-lepszych drzwi. Nie patrząc nawet co to za pomieszczenie, wszedł do środka i zamknął drzwi na klucz. Dopiero teraz, oparłszy się o drzwi, spojrzął na krwawiący kikut swojej ręki. Skóra była kompletnie*

porwana, a strzępy mięśni wisały jak nitki z prującego się płaszcza. Kość była pęknięta na samym środku i wyglądała, jak cienka deska, na którą ktoś na nią celowo nadepnął, łamiąc ją. Rozejrzał się dookoła siebie. W tej sali zwykle miał zajęcia z matematyki. Cztery rzędy ławek ustawione były na korkowanej podłodze. Całą jedną ścianą było ogromne okno, wychodzące na boisko szklone. Do niego podszedł Michael. Ciemne niebo pokrywały chmury. Było to dziwne, bo gdy wychodził z domu, jakś godzinę temu, niebo było zupełnie niebieskie, słońce świeciło i nie można było się dopatrzeć choćby najmniejszego obłoczka. Nagle ujrzał wyjątkowo czarny kontur w oddali. Przysunął się bliżej do „szklanej ściany”. Nie miał najmniejszego pojęcia, co to może być, lecz niebezpiecznie i szybko zbliżało się ku niemu. Z każdą milisekundą rośło. W końcu Mike rozpoznał kontur. To był ptak. Chyba kruk. Coś jednak było nie tak. Machał skrzydłami bardzo szybko i leciał wprost na szybę. Jego lot był aż nienaturalnie prosty. Nie skręcił ani o milimetr. Sekunda wystarczyła, by z ośmiu metrów od budynku, znalazł się przy szybie. Z całej siły uderzył dziobem w szkło, przechodząc przez nią łatwo, jak łopata przez piasek. Szyba rozleciała się na miliony małych kawałeczków, a kruk wbił się w dziobem prosto w oko Michaela, który kompletnie tego się nie spodziewał. Chłopak krzyknął z bólu i upadł na ziemię. Uderzył głową o kant ławki. Ręką chwycił swoje oko, które zaczęło krwawić. Ptak nie odpuszczał i dalej próbował wyrzucić jak najwięcej ran Michaelowi. Nagle w klasie zaludniło się od kruków, które kracząc przypuściły atak na chłopaka, który zaczął się jak najszybciej wycofywać. Nagle poczuł plecami, że natrafił na drzwi. Odetchnął z ulgą. Oderwał dłoń od rannego oka. Gałka oczna wyskoczyła stamtąd i odbita się kilka razy od ziemi jak kauczuk, po czym z plaśnięciem osiadła na podłodze. Michael wstał, nacisnął klamkę i pociągnął ku sobie. Drzwi ani drgnęły. Przypomniał sobie jednak, że zamknął je na klucz. Złapał więc za klucz i przekręcił go w lewo. Udało się. Usłyszał szczęknięcie zamka. Ponownie nacisnął klamkę i pociągnął drzwi ku sobie. Ustąpiły bez problemu. Nie miał czasu, by je zamknąć. Wiedział, gdzie szukać schronienia: w swojej klasie. Zaczął biec w tamtym kierunku. Setki kruków leciały za nim i dziobały go po całym ciele. Mike jedyną ręką próbował się od nich odgonić. Wbiegł na schody. Nagle serce забиło mu mocniej, gdy przypuścił bieg korytarzem na piętrze. Prócz krakania ptaków, usłyszał też inny głos: krzyki kilkudziesięciu osób. Jego prześladowcom udało się w końcu dostać do środka. Skręcił w lewo i wszedł do swojej klasy, zamykając za sobą drzwi. Nagle wszystko znikło, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Wrócił mu wzrok w oku. Opuścił powieki i rękami zaczął je dotykać. Pod jednym i drugim wyczuł gałkę oczną. Ze zdziwieniem spostrzegł też, że z powrotem ma lewą rękę. Nie dość, że wróciła, to zdawała się nie mieć żadnego, najmniejszego nawet, zadrapania. Na jego ubraniu nie było widać najmniejszego nawet śladu krwi, mimo iż jeszcze minutę temu był nią ubrudzony od stóp do głów. Powitały go okrzyki przywitania wielu osób. W pomieszczeniu bowiem tętniło życiem. Ławki ustawione były w długie rzędy, tak że przypominały teraz bardzo długie, wąskie stół. Nakryte były białymi, papierowymi obrusami. Przy każdym krześle był zestaw plastikowych naczyń (kubeczek, miseczka, talerzyk oraz łyżka, widelec i nóż). Na większych talerzykach były pokrojone na równe kwadraciki kawałki rozmaitych ciast, pierniczki, ciasteczka, cukierki i różne inne odmiany słodkości i słodocy. Na tablicy widniał, wypisany kredą, duży napis WESOŁYCH ŚWIĄT, otoczony amatorsko wykonanymi rysunkami choinek, gwiazdek, aniołków i wielu innych świątecznych symboli. Michael zaczął rozglądać się dookoła, w poszukiwaniu Elizabeth. Nigdzie jednak nie mógł jej znaleźć. Gdy jednak zapytał się o nią innych, oni odpowiedzieli, by się nie martwił i że niedługo do nich dołączy. Usiadł więc na jednym z krzeseł, obok Jacoba i Miriam (jednej z jego ulubionych koleżanek: długie, blond włosy, zielone oczy, piękna twarz, nienaganna figura, a przy tym niezwykle sympatyczna i obdarzona ogromnym i bardzo mu odpowiadającym poczuciem humoru. Pani McPherson, wychowawczyni, stanęła za biurkiem i wygłosiła swoją coroczną, nudną mowę na temat tego, jaki cudowny był to rok, że ma nadzieję, że w przyszłym

spotkają nas sukcesy i że będzie jeszcze lepiej, dodała jeszcze do tego gatkę, że to ostatnia wigilia klasowa w tym składzie, więc korzystajmy i bawmy się dobrze. Gdy wszyscy myśleli, że skończyła, do sali wszedł nagle Stephen z tacą, jaką zwykle mają kelnerzy w restauracjach (okrągła, metalowa, z pokrywą przypominającą kopułę), a McPherson powiedziała, że nie jest to może indyk w święto dziękczynienia, ale mięso to mięso, a to jest naprawdę bardzo ładne i na pewno wszystkim będzie smakować. Steve położył tacę tuż przed Michaeliem i na znak McPherson („Podano do stołu”) uniósł pokrywę. Mike zamarł. Jego serce stanęło. Krew w jego żyłach przestała płynąć. Na tacy leżała głowa Elizabeth. Ucięta tuż przy szyi, z której zwisały płatki skóry i mięsa. Miała otwarte oczy, wytrzeszczone i spoglądające prosto w oczy Michaela. Lekko otwarte usta. Jej skóra była blada, a włosy w nieładzie, ubrudzone krwią. Mike nie był w stanie krzyczeć. Nie był w stanie nawet wydać z siebie cichego jęku. Nie zdobył się nawet na łzę. Nagle wszyscy, siedzący dookoła niego rzucili się na głowę jego dziewczyny. Pierwsze dwie osoby wydtubały jej widelczykami oczy. A potem było coraz gorzej. Nożami zaczęli odkrajać to głębsze, to cieńsze fragmenty jej skóry. Kilka osób otworzyło szerzej jej usta i zaczęło wrywać jej zęby. Pani McPherson podeszła i odcięła jej język. Nagle głowa Elizy (a właściwie jej obdarte ze skóry i mięśni resztki) przemówiły:

- Coś się stało Michael? Wyglądasz jakbyś nie miał apetytu.

\*\*\*

Mike obudził się. Spojrzał pod kołdrę. Prześcieradło i jego spodnie od piżamy były mokre. To jego mocz. Był cały zlany potem. Zdjął z siebie koszulę i wyjął ją nad podłogą. Popłynęła z niej woda, jak ze szmatki włożonej pod kran z płynącą wodą. Jego włosy były sklezione. Musi to przezwyciężyć. Nie może pozwolić, by te koszmary nim zawładnęły. Położył głowę na poduszce i zamknął oczy. Teraz to on musi panować nad snem.

\*\*\*

Jasność. Porażająca. Widzi tylko czarny kontur postaci. Niewyraźny  
- To ty jesteś odpowiedzialny za moje koszmary?! – krzyczy Michael.

Postać nie drgnęła.

- Koniec z tym! – krzyczy dalej Mike. – Mam tego dość! Nie pozwolę ci już więcej wtrącać się do moich snów. Wyzywam cię!

Postać błyskawicznie podniosła rękę. Z konturu jego dłoni najpierw wysunęły się skrzydła z piórami, potem dziób, a na koniec dłoń oderwała się od właściciela, przeistaczając się w kruka. Ptak zaczął lecieć zawrotnym tempem prosto na Michaela. W pierwszym odruchu, chłopak chciał się cofnąć, jednak się powstrzymał. To jego sen. To jego świat. Nie może panować nad rzeczywistością, ale tutaj ma władzę. Wytężył umysł.

(Stój!)

Udało mu się! Przemówił. Skupił się i przemówił ponownie do kruka.

(Stój!)

Ptak nie posłuchał i dalej leciał prosto na Mike'a.

(Nie boję się ciebie!)

Teraz to Michael wysunął rękę i chwycił kruka w locie. Następnie zacisnął na nim palce i ptak zamienił się w pył, który rozsypał przed sobą. Postać cofnęła się krok do tyłu. Dookoła chłopaka, spod ziemi wyrosli nagle ludzie. Otaczali go. Byli wściekli. Michael ponownie się skupił.

*(Wy jesteście słabi. Nie dacie mi rady. Jestem od was silniejszy! Słyszycie?! JESTEM SILNIEJSZY!!)*

*Pierwszy mężczyzna wybiegł z koła prosto na Mike'a. Wystarczył jeden cios pięścią, by mężczyzna zamienił się w pył. Tak samo stało się z kolejnym. W końcu chłopak z całej siły tupnął o ziemię, która zafalowała i rozsypała jego przeciwników. Michael uwierzył w swoją siłę. Powolnym krokiem zaczął kroczyć ku swojemu przeciwnikowi. Postać ponownie uniosła w górę dłoń, która zamieniła się w węża o nóżkach skorpiona. Ten jednak był monumentalnych rozmiarów, a nie taki, jakiego Michael zapamiętał.*

*(Jesteś tylko w tym śnie. Nie wierzę w siebie!)*

*Potwór rozpułnął się w powietrzu, jak mgła. Michaela dzieliło od swojego przeciwnika kilka kroków. Nagle wyrosła przed nim Elizabeth.*

*- Mike... - wyszeptwała, wyciągając ku niemu ręce.*

*(Nie jesteś Elizabeth!)*

*Jej twarz się zmieniła. Kły jej urosły, oczy stały się żółte, a język rozdzielił się na dwie końcówki i zafalował. Michael wyciągnął przed siebie dłoń, zamknął oczy i wyobraził sobie, że ma wielką moc. ON tu rządzi. Nie ten stwór. ON. Nagle Eliza, jakby odepchnięta jakąś magiczną mocą, zaczęła rozpędzona lecieć na przeciwnika chłopaka. Ten cofnął się o krok i machnął błyskawicznie ręką, a przed nim wyrosła ściana ognia, w której Elizabeth zniknęła. Dla Michaela bariera nie stanowiła jednak żadnej przeszkody. Wyciągnął przed siebie ręce, zetknął je ze sobą, a następnie szybko odsunął je od siebie. Ściana zniknęła. Michael bardzo chciał dowiedzieć się, kim jest jego wróg. Jednak w tej chwili obudził się.*

\*\*\*

Udało mu się! Pokonał go. Teraz nie będzie się już bał nocy. Z wspaniałym humorem złożył głowę na poduszce i zamknął oczy, z ochotą zagłębiając się w sen, nad którym tej nocy, będzie on niepodzielnie panował.

## VII

Jechali samochodem autostradą. Michael siedział z tyłu, obok swojego półrocznego braciszka. Z przodu siedziała mama, cały czas pouczając siedzącego za kierownicą tatę. Nie jechali z jakąś zawrotną prędkością. Może ponad sto kilometrów na godzinę? Trudno było Mike'owi to stwierdzić, gdyż nie widział prędkościomierza. Zajmował się swoim telefonem, na którym pisał z Elizabeth. Jego życie od miesiąca nie miało żadnych zmartwień.

Wszystko między nim, a dziewczyną się układało. Uczył się dobrze, więc miał bardzo dobre oceny w szkole. A koszmary senne? Zniknęły. Jak ręką odjął. Co prawda, nie zapomniał obrazów, które tam widział, lecz starał się ich nie rozpamiętywać. W wyniku tego, stawały się coraz bardziej mgliste i Michael miał nadzieję, że w końcu ostatecznie znikną.

Znów nie pamiętał swoich snów. Cóż, przecież marzenia senne to przyjemność ulotna. Zawsze jest tak, że to co przyjemne trwa krótko, a koszmary zdają się ciągnąć w nieskończoność.

Czekając na SMS-a zwrotnego od swojej dziewczyny, podniósł wzrok. Zobaczył swojego braciszka, który smacznie spał, rodziców którzy ze śmiechem rozprawiają na temat tego, w jakim wieku się poznali. Popatrzył przez szybę. Zielone pagórki umieszczone kilkanaście metrów od asfaltu były takie piękne. Słońce rozkosznie świeciło, dodając im blasku. Po niebie przesuwali się leniwie niemal przezroczyste chmurki. Piękny dzień.

Nagle go zobaczył. Czarny, ponury, niewyraźny cień. Migotał, jak płomień na wietrze. Stał tuż przy drodze i patrzył prosto na chłopaka. Michael go rozpoznał. To było monstrum z

jego koszmarów. Spojrzał na swoich rodziców i brata. Mieli na głowach czarne worki, jakie zakładano przy wieszaniu w średniowieczu. Krzyknął z przerażenia.

Ojciec, nie wiedząc, co się dzieje, wystraszył się i obrócił się w stronę syna. Kosztowało go to jednak utratę panowania nad samochodem. Najpierw samochód stanął w poprzek drogi. Potem słyszeli tylko pisk opon i chwilę potem uderzył w nich inny wehikuł, który nie zdążył wychamować. Ich auto wzbiło się w powietrze, przeleciało kilka metrów. Wtedy właśnie Michael przypomniał sobie

(narodziny)

(pierwszy raz w szkole)

(komunia święta)

(pierwszy dzień w gimnazjum)

(nawiązanie znajomości)

(on, proszący Elizę o to, by zechciała z nim chodzić)

(koszmary senne)

(wypadek)

wszystkie najważniejsze momenty jego życia. Potem samochód spadł ciężko na ziemię.

\*\*\*

Nikt nie przeżył tego wypadku. Pogrzeb odbył się kilka dni później. Oprócz rodziny, zjawiła się też prawie cała szkoła Mike'a, gdyż praktycznie wszyscy go znali. Najbliżej grobu stanęła Elizabeth. Łzy płynęły jej z oczu prawie nieprzerwanie, od kiedy o tym się dowiedziała. A wszystko przecież się już udawało. Nie mogła patrzeć na trumnę spuszczaną w głąb ziemi. Podniosła wzrok. I nagle w oddali coś zobaczyła. Przypominało to nieco niewyraźny, zamazany kontur człowieka. Zdawał się migotać, co skojarzyło jej się ze świeczką na wietrze. Płomień, który migocze, ale nie może zgasnąć. Uznała to jednak za złudzenie, gdyż gdy mrugnęła i otworzyła oczy z powrotem, zjawy nie było.

W końcu przyszedł czas, by opuścić cmentarz. Wsiadł więc, wraz z rodzicami do samochodu. Nie wiedząc czemu, natychmiast po tym, jak oparła głowę o oparcie fotela, pogrążyła się w głębokim śnie.

\*\*\*

*Stała w ciemnościach. Oświetlał ją jednak promień białego światła, niczym reflektor piosenkarza na scenie. Ujrzała postać, która wychodzi z tego światła i zmierza ku niej. Rozpoznała ją dopiero, gdy stanęła z nią twarzą w twarz. To był Michael. Żywy. Takiego, jaki pozostał w jej pamięci. Wyciągnął ku niej rękę. Chwyciła ją. Następnie lekko ją przyciągnął ku sobie. Ona nie stawiała oporu i po chwili razem już szli w stronę padającego na nich światła.*

\*\*\*

Lekarze nie potrafili podać dokładnej przyczyny śmierci. Zrobili wszystkie testy. Zbadali wszystko, co mogłoby być tego przyczyną, lecz nie mogli stwierdzić, co spowodowało śmierć Elizabeth. Stwierdzili tylko, że zgon nastąpił niedługo po tym, jak wsiadła do samochodu po pogrzebie. To, że nie oddycha zauważył ojciec, gdy otworzył drzwi, by ją obudzić, gdyż mimo wielokrotnych próśb, nie wysiadała mimo dojazdu do domu. Gdy pochylił się nad nią, ujrzał że jej klatka piersiowa się nie podnosi. Na jej twarzy malował się słaby uśmiech, a po policzku spływała jeszcze leniwie samotna łza.